

Antoni Libera

Godot i jego cień

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Wyjazd pana Arnolda

Chociaż historia ta z pewnością była niezwykła i zostawiła po sobie niezatarte wspomnienie, a nawet głęboki ślad, nie sposób jednak jej uznać za źródło czy choćby początek mojej przygody z Beckettem. Byłoby to typowe mitologizowanie. Początek w takich sprawach wyznacza olśnienie i podziw, po czym świadomy wybór. A to się stało dopiero po jedenastu latach.

Rok sześćdziesiąty ósmy. Znowu jesień. Listopad.

W ciągu ostatnich dziewięciu czy dziesięciu miesięcy zdarzyło się wiele złego. Narastający od lat kolejny kryzys władzy, którego skutkiem, jak zawsze, są takie czy inne presje, restrykcje i obostrzenia, osiąga stadium ostrego i otwartego konfliktu. Gomułka – ten sam przywódca, który dwanaście lat wcześniej potępiał „kult jednostki” i zbrodnie stalinizmu i obiecywał solennie, że „błędy i wypaczenia” już nigdy się nie powtórzą, a Polska będzie budować socjalizm po swojemu – broniąc własnej pozycji przed zakusami rywali, dopuszcza się rzeczy haniebnych. Zaczyna od zdjęcia *Dziadów* w Teatrze

Narodowym, sztandarowego dzieła kultury narodowej. Następnie wywołuje nagonkę antysemicką, co w kraju, gdzie nie tak dawno Niemcy pod wodzą Hitlera przeprowadzali *Endlösung*, nie może nie budzić grozy. I wreszcie – karnie, służalczo wobec moskiewskiej centrali – godzi się wysłać wojsko na teren Czechosłowacji, by zdławić tam Praską Wiosnę w ramach „bratniej pomocy”, co plami długą tradycję dobrosąsiedzkich stosunków.

Cała ta polityka nie tylko mnie obchodzi, ale w dużym stopniu dotyczy osobiście. Już dawno przestałem być dzieckiem, nie chroni mnie dom ani szkoła, studiuję na uniwersytecie i tkwię w samym sercu wydarzeń. Już nie obcuje z mitami, jak wtedy, po Październiku, lecz z twardą rzeczywistością. Widzę na własne oczy, jak milicja rozpędza i wyłapuje ludzi, którzy po przedstawieniu wyruszyli z teatru pod pomnik Mickiewicza w proteście przeciw cenzurze, a zwłaszcza rugowaniu klasyki narodowej. Sam biorę udział w wiecu na dziedzińcu uczelni i jestem świadkiem zajść, do jakich doprowadzają partyjno-ubeckie bojówki, zwiezione autokarami. Dostaje pałą po głowie, cudem unikam aresztu. Ze szczególnego miejsca śledzę początek inwazji Układu na Czechosłowację: z koszar – z jednostki wojskowej, w której przebywam akurat na przymusowym szkoleniu. A zatem słucham codziennie agitek politruków i uczestniczę w apelach, uderzająco podobnych do pamiętnych seansów nienawiści Orwella. Najbardziej jednak przeżywam kampanię antysemicką, a szczególnie jej skutki: masową emigrację. Bo wśród wyjeżdżających jest wiele osób mi bliskich, rówieśników i starszych, przyjaciół moich rodziców, ludzi znanych od dziecka.

Różne złe scenariusze rozważano w przeszłości, różne przewidywano plagi i kataklizmy – w kulturze, gospodarce, szkolnictwie, służbie zdrowia – nikt jednak nie przypuszczał,

że dojdzie do czegoś takiego. Że wróci tamta trauma z czasu łapanek, ucieczek, denuncjacji i wpadek, ukrywania się w szafie i wywózek do gazu; że po tym wszystkim, co zaszło, jest to jeszcze możliwe. A oto, jak widać, jest. A zatem nie ma co zwlekać, trzeba pakować manatki i wiać stąd – jak najdalej. Trudno, nie dało się. Po blisko siedmiuset latach mieszkania na tej ziemi trzeba ją wreszcie opuścić i zamknąć tę historię fatalnej koegzystencji. To miejsce jest przeklęte. Skończyć z tym, raz na zawsze.

I oto, mniej więcej od lata, trwa czarny sezon rozstań – pożegnań i wyjazdów. Ostatnie wizyty, rozmowy, ogołoczone mieszkania, *exodus* z Dworca Gdańskiego, pociąg Warszawa–Wiedeń. Długi korowód postaci. Wśród nich – pan Arnold Meyer, rocznik dziewięćset pięć.

Pan Arnold jest człowiekiem pod każdym względem niezwykłym. Wysoki, szczupły, kościsty, o wyrazistej twarzy i dźwięcznym, niskim głosie, zna bodaj sześć języków (francuski, angielski, niemiecki, włoski, łacinę i grekę) i ma rozległą wiedzę w rozmaitych dziedzinach. Nie zdobył jej jednak zwyczajnie, na takich czy innych studiach. To genialny samouk, nie ma nawet matury. Do tego – z zamożnej rodziny. Przed wojną żył jak rentier i to wysokiej rangi: ciągle gdzieś za granicą, w wygodnych, pluszowych hotelach, zacisznych pensjonatach i ekskluzywnych willach – nad Adriatykiem, w Alpach, w Szwajcarii, Francji, Niemczech. Oczywiście po wojnie to wszystko się skończyło, niemniej jego pozycja, przynajmniej na tle innych, wciąż była wyjątkowa. Pracował w PWN-ie jako redaktor i tłumacz, lecz dzięki swojej szczególnej, jak zwano to, „przydatności” cieszył się warunkami, o jakich inni mogli najwyżej sobie pomarzyć: pracował głównie w domu, miał status „rzeczoznawcy nadzwyczajnego stopnia” (z którego to tytułu lubił się naigrawać, który dawał mu jednak ogromną

niezależność) i jeszcze do tego wszystkiego bardzo dobrze zarabiał. Poza wysoką pensją miał też inne dochody: honoraria autorskie, tantiemy z tytułu przekładów używanych w teatrze, a zwłaszcza nieformalne gratyfikacje w dewizach, tak zwane kopertówki, wręczane przez cudzoziemców odwiedzających nasz kraj, którym służył pomocą jako przewodnik i tłumacz.

Ojciec zetknął się z nim jeszcze przed okupacją, ale zbliżyła ich wojna. Wyciągnął ojca z getta, a później załatwił mu „nieskazitelne” papiery. Dzięki temu, że mówił bezbłędnie po niemiecku, a przede wszystkim nie miał semickiego wyglądu, prowadził podwójne życie, nierzadko udając Niemca i grając inne role, i posiadał rozliczne, zdumiewające koneksje. Wykorzystując je, ocierał się niekiedy o bezprzykładną brawurę i dokonywał cudów. A jednak, mimo że szczęście tak mu dopisywało (czy właśnie wskutek tego?), los obszedł się z nim w końcu wyjątkowo okrutnie. Wkrótce przed wyzwoleniem, kiedy się wydawało, że zagrożenia już nie ma, stracił żonę i dziecko, ośmioletniego syna – z rąk jakichś maruderów zdesperowanych odwrotem, na których przypadkiem wpadli. To ponoć radykalnie zmieniło jego charakter. Stał się innym człowiekiem. Mrocznym, zamkniętym w sobie, małomównym, kostycznym. Rodzice żywili do niego coś więcej niż sympatię, zapraszali go jednak na ogół w pojedynkę, nie w szerszym towarzystwie, bo lubił prowokować i bywał sarkastyczny, szczególnie wobec osób, które tak czy inaczej – z przekonań czy dla kariery – współpracowały z reżimem lub choćby miały nadzieję, że da się go zreformować i warto o to walczyć.

I oto pan Arnold Meyer – wyniosły, „niepokonany”, jak go przez lata zwałem, fascynujący mizantrop o ironicznym spojrzeniu, w którym jednak, czasami, zjawiał się wielki smutek – „podaje się o wyjazd”. (Tak w drwiący sposób ochrzczono, przedrzeźniając formuły biurokratycznej mowy, złożenie

oświadczenia o woli emigracji). Zamyka wszystkie sprawy, sprzedaje mieszkanie, wyjeżdża. Na początku do Wiednia, a z czasem do Fryburga, gdzie ma dostać posadę w wydawnictwie Herdera, a nadto – odszkodowanie za poniesione straty w okresie okupacji.

- Do Niemiec – krzywi się ojciec. – Nie brałbym od nich pieniędzy, nawet gdyby mi sami to zaproponowali.

- Bo co? – przeciwstawiam się. – Co w tym niewłaściwego?

- Są rzeczy niewymierne. Pieniądze za krew? Wątpliwe.

- Nie są natomiast wątpliwe – replikuję szyderczo – gdy się je bierze od państwa demokracji ludowej, sterowanego przez Ruskich.

- To nieporównywalne.

- Z pewnością – ironizuję. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego wobec innych bywasz wyrozumialszy.

Ojciec nie ma ochoty wdawać się w polemikę. Udaje, że nie słyszy mojej ostatniej uwagi, i mówi rzeczowym tonem:

- Likwiduje księgozbiór. Chce, żebyś wpadł do niego.

W dniu, kiedy tam zachodzę, mieszkanie w starym domu przy ulicy Litewskiej jest już niemalże puste. Poza dziwnym tapczanem przykrytym byle jak, którego, moim zdaniem, nigdy tam wcześniej nie było, oraz stolikiem w kuchni i dwoma taboretami nie ma już żadnych mebli. Nagie są również ściany, pokryte do niedawna sztychami i obrazami. Zostały po nich jedynie nikłe obwódki kurzu, plamy spłowiałej farby i różnej wielkości gwoździe. Z sufitu sterczą przewody z obnażonymi drutami i haki, na których wisały ciężkie, mosiężne świeczniki *à la* Księstwo Warszawskie. Nasze kroki i głosy, gdy przemierzamy korytarz, wzbudzają lekki pogłos.

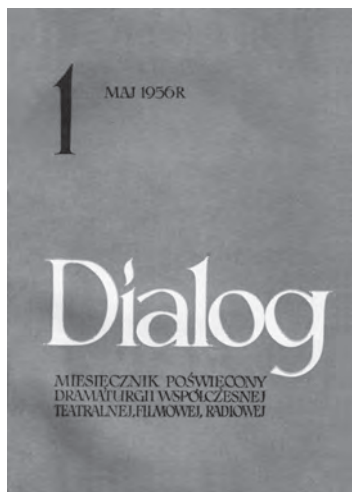
W pokoju, gdzie był gabinet, sterty książek pod oknem.

- Zostawiam to – pan Arnold zatrzymuje się w progu.

- Ci, co się tu wprowadzą, sprzedadzą to z pewnością w skupie

makulatury, ale nie mam już głowy, aby się tym zajmować. Przejrzyj to sobie i wybierz, co cię interesuje lub może ci się przydać. Najlepiej jak najwięcej.

Przysiadam na podłodze i zaczynam kwerendę. Istotnie, jest to zbiór raczej dla amatorów, i to bardzo szczególnych. Przede wszystkim dlatego, że w znakomitej większości rzeczy te nie są po polsku, tylko w obcych językach, a poza tym dlatego, że jest to literatura wybitnie specjalistyczna – filologia klasyczna, historia, etnografia. Dlatego też moją uwagę przyciąga wkrótce stosik z rocznikami „Dialogu”, zwłaszcza że widzę wśród nich wiele starych numerów, z końca lat pięćdziesiątych, rzadko już spotykanych na półkach antykwariatów i najwyżej cenionych w gronie kolekcjonerów. Istotnie, to złota żyła: co najmniej pięć rarytasów, w tym słynny numer 1 i szereg okazów pomniejszych. Legendarne zeszyty z okresu krótkiej wolności po stalinowskim jarzmie, kiedy to wdarła się do nas przez żelazną kurtynę fala zachodniej kultury.



„Dialog” numer 1, maj 1956

Odkładałam to wszystko na bok, nie kryjąc zakłopotania, czy uda mi się zabrać z taką ilością papieru.

– Adam – mówi pan Arnold, podnosząc numer 1, który leży na szczycie tej ponadmetrowej już sterty – zabiera ze sobą komplet, pełne dwanaście roczników.

– Adam? – Unoszę głowę.

– Tarn, redaktor naczelny.

Ten, co stworzył to pismo.

– Zabiera?

– Też wyjeżdża. Siedzi już na walizkach.

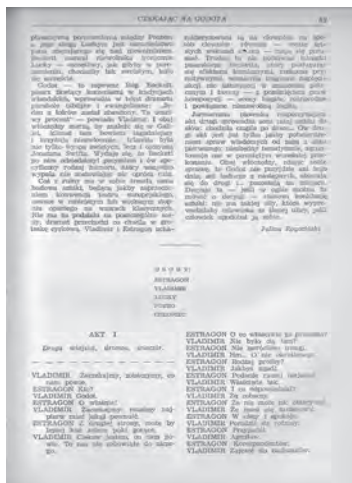
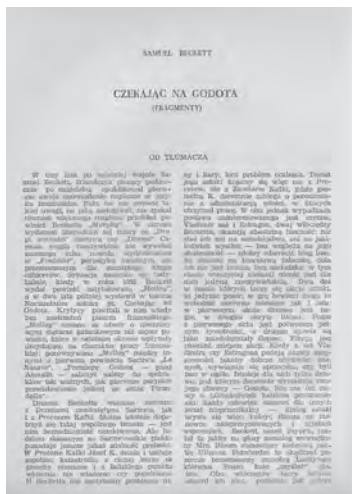
Kiwam posępnie głową. Tymczasem pan Arnold kartkuje zeszyt z numerem 1.

- Wiesz, że tu nie ma całości? - odzywa się po chwili.
- Całości czego? - nie chwytam.
- Tego, co w tym numerze było i jest najważniejsze: *Czekając na Godota*. Tu są jedynie fragmenty. Na całość nie było zgody.

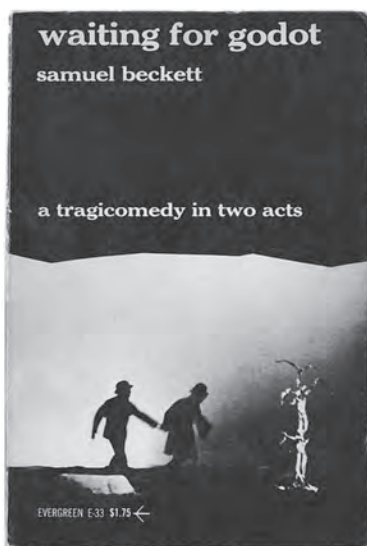
- Czyjej? Autora? Wydawcy? - Cenzury - cedzi pan Arnold, rzucając mi spojrzenie pełne politowania.

- To dziwne - chcę czym prędzej poprawić sobie opinię i wykazać się wiedzą - grano to przecież w teatrze. Widziałem na własne oczy.

- Kiedy! Po Październiku. A to jest wydrukowane kilka miesięcy wcześniej. Zasadnicza różnica... No i skutek jest taki, że cały tekst po polsku dostępny jest jedynie w formie maszynopisu. Ale poczekaj. - Pan Arnold odkłada numer 1 i zaczyna przebierać w drukach obcojęzycznych. - Jest! - ogłasza z tryumfem i podaje mi książkę. - Wydanie amerykańskie, pierwsze w języku angielskim.



Pierwodruk *Godota* ze wstępem tłumacza w „Dialogu”



Pierwsze amerykańskie wydanie

skim, bo oryginalne, francuskie, istniało już od dwóch lat, a w Anglii wyszło później. Pozycja trzydziesta trzecia Evergreen Book, Grove Press.

Na czarno-białej okładce widnieje fotografia z jakiegoś przedstawienia: na jasnym tle horyzontu z krążkiem bladego księżyca dwie ciemne ludzkie sylwetki, niby dwa chińskie cienie, przemykają się chyłkiem w stronę ciemności po prawej; trzymają się za ręce, a raczej jedna z nich, przygarbiona nieznacznie, ciągnie za sobą dru-

gą, która się jakby opiera; ich pozy są pełne napięcia. Ten obraz przykuwa wzrok. To nie jest zwykła migawka ze spektaklu w teatrze, to zdjęcie o randze symbolu, samoistna ikona. Przewodnik i ślepiec? Zbiegowie? Dwaj ludzie idący w nieznaną – ze strefy światła w mrok? Cokolwiek to oznacza, ma siłę, fascynuje.

– To z prapremiery paryskiej – odzywa się pan Arnold, widząc, jak intensywnie wpatruję się w okładkę. – Rok pięćdziesiąty trzeci, dokładnie piąty styczeń. Jeszcze przed śmiercią Stalina – dodaje z kpiącym uśmiechem. – Widziałem to przedstawienie bodaj trzy lata później. Nie schodziło z afisza przez dobrych kilka sezonów.

Ja naturalnie mam w oczach tamten niezapomniany spektakl w Teatrze Współczesnym. Smutno-liryczny Kondrat, mazgajowaty Fijewski, Koecher z wypchanym brzuchem i w butach

na obcasach i chudy, wysoki Mularczyk. Inny nastrój i ton, odmienna stylistyka. W zestawieniu ze scenką na czarno-białym zdjęciu – posępna, ascetyczna, wyzuta z ornamentów – nieomal sielankowa. Obrazek na okładce amerykańskiej edycji jest tajemniczy i groźny.

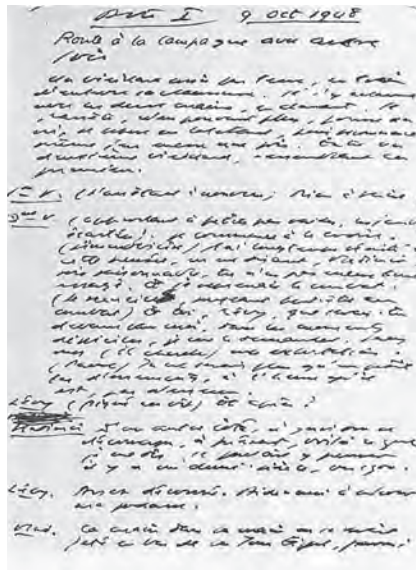
– Koniec drugiego aktu – komentuje pan Arnold. – Gogo ciągnie za sobą otepiąłego Didiego. Niby tylko pod drzewo, ale w istocie dalej, gdzie indziej, poza scenę, dokąd wciąż go coś pcha. Na pozór mniej rozgarnięty od swego towarzysza, jest jednak od niego mądrzejszy. Czuje, że nie ma sensu czekanie w nieskończoność; że trzeba stamtąd odejść, szukać szczęścia gdzie indziej. Wiesz, jak go Beckett nazwał w pierwotnej wersji sztuki?

- Nie mam pojęcia.
- Lévy.
- Że niby wieczny tułacz...

– Nie wiem, czy akurat to. Raczej że zawsze pierwszy. Znasz dowcip o kolejce do sklepu mięsnego w Moskwie?

Znam, lecz udaję, że nie znam, by panu Arnoldowi nie zepsuć przyjemności.

– Stoi kolejka po mięso. Mięsa, rzecz jasna, nie ma, ale zapowiadają, że dostawa już jedzie. Po paru godzinach wiadomość: dostawa jest już blisko, lecz mięsa dla wszystkich nie starczy. Kolejkę wobec



Pierwsza strona rękopisu z datą 9.10.1948. Gogo jeszcze jako Lévy

tęgo mają opuścić Żydzi. Po jakimś czasie znowu: dostawa zaraz będzie, lecz mniejsza niż myślano. Kolejkę mają zatem opuścić inteligenci. Po południu to samo. Tym razem do odejścia wzywa się ludzi wierzących. Wreszcie pod koniec dnia podjeżdża ciężarówka, której kierowca ogłasza: „Mamy przejściowe trudności, dostawy już dziś nie będzie. Do jutra! Rozejść się!”. Wściekli ludzie odchodzą. „I znowu”, ktoś pomstuje, „najlepiej mają Żydzi!”.



Prapremiera paryska, 1953



Na udawanie śmiechu nie mogę się już zdobyć, więc tylko kiwam głową, że niby przeczułem puenty.

- Masz rację - mówi pan Arnold - właściwie nie jest to śmieszne. - Ale przekonasz się: po latach o tym-teraz będą mówić tak samo.

- Więc i to mogę wziąć? - upewniam się w sprawie *Godota* w amerykańskim wydaniu.

- Inaczej pojedzie do gazu - uśmiecha się pan Arnold. - Na skup makułatury.

Dzielimy roczniki „Dialogu” na kupki tej samej

wielkości i wiążemy je sznurkiem. Amerykański *Godot* ląduje w kieszeni płaszcza. Ale zanim go włożę i pójdę po taksówkę, pan Arnold prosi jeszcze, bym zaszedł na chwilę do kuchni. Ze spiżarki pod oknem wyjmuję jakąś butelkę z malowniczą naklejką i resztkę jej zawartości nalewa do dwóch szklaneczek, tak zwanych literatek, które stoją na stole, jakby przygotowane.

- Nie mam tu już kieliszków stosownych do tego trunku - mówi melancholijnie.

- A co to jest?

- Armagnac. Dostałem go lata temu od jakichś gości z Francji. Wypicie wciąż odkładałem na jakąś szczególną okazję. Chyba nadeszła, nie? I oto teraz kończymy. - Z butelki odwróconej do góry wklęsłym dnem skapują ostatnie krople. - Za czarującą przeszłość - pan



Prapremiera paryska, 1953



Arnold wznosi toast w typowej dlań stylistyce – i jeszcze świetniejszą przyszłość!

Wypijamy po łyeczku i siadamy na stołkach. Długa chwila milczenia. Przerywa je wreszcie pan Arnold:

– Nie mam zamiaru się wtrącać w plany twoich rodziców, a zwłaszcza w twoje życie, chcę cię jednak zapytać: nie myślisz o wyjeździe?

Waham się z odpowiedzią. Wiem, że jeśli odpowiem zgodnie z prawdą – że nie – będę musiał wysłuchać surowego kazania na temat mej naiwności albo nawet głupoty, bo jakże można nie widzieć czy nie rozumieć tego, że tutaj nie ma perspektyw, zwłaszcza dla takich jak ja, że tu się człowiek marnuje, bo tam, gdzie rządzi Rosja, zwłaszcza Rosja sowiecka, nie może być nic innego jak tylko zsyłka i łagier, zniewolenie i nędza, i pewien rodzaj diabelstwa, które poraża duszę. Znam tę śpiwkę na pamięć, co więcej, zgadzam się z nią, a w każdym razie nie mam dobrych kontrargumentów; skoro zaś tak, to mój upór godny jest potępienia. Jeśli z kolei odpowiem dla świętego spokoju niezgodnie z prawdą – że myślę – pan Arnold zaraz przejdzie do omawiania szczegółów – kierunek, termin, plany – po czym zaofiaruje taką lub inną pomoc i będzie w tym coś z obsesji czy narkotycznej gry z fatum (kiedyś wyciągnął ojca, teraz wyciąga mnie), a taka psychodrama nie bardzo mi się uśmiecha. Dlatego też odpowiadam w sposób wymijający:

– Myślę, ale sceptycznie.
– Dlaczego?
– To nie dla mnie.
– Nie rozumiem.
– Znam siebie.
– I co z tej wiedzy wynika?
– Że źle się adaptuję, a przede wszystkim brak mi... jasnego celu w życiu.

- Brak celu? Przecież studiujesz.
- To nie ma większego znaczenia. Nie bardzo wiem, co mam robić. Wiem tylko, czego nie chcę.
- Mianowicie?
- Standardu... Posady. Etatu. Kariery.
- I liczysz, że właśnie tutaj zdołasz tego uniknąć?
- Wydaje mi się, że tak. Prędzej tutaj niż tam.
- Osobliwa ocena. Demokracja ludowa skończyła z bezrobociem. A zatem kto nie pracuje, ten się uchyla od pracy, czyli jest pasożytem. A pasożyty się tępi.
- Znam tę logikę, a jednak... pozostanę przy swoim.
- Nie powiem, że rozumiem, ale nie będę nalegał. Rób, co ci instynkt dyktuje.

Dopijamy ostatki. Wychodzę po taksówkę. Pan Arnold pomaga mi znieść stare numery „Dialogu”, a tuż przed pożegnaniem mówi jeszcze zniecka, jak gdyby nawiązywał do swojej ostatniej kwestii:

- Ja muszę skończyć tę partię, *vielle fin de partie perdue, il faut finir de perdre**.

I na tym się rozstajemy.

* „Stara przegrana końcówka, trzeba skończyć przegrywać” – słowa z ostatniego monologu Hamma.